

Od autora: Z cyklu "Śmietnikowa epopeja" ...

Kot nazywa się Horacy i jest brzydki jak noc; naprawdę nie widzieliście chyba jeszcze tak szpetnego i odpychającego stworzenia. Kiedy próbuję go pogłaskać po grzbiecie, jeży się cały, parska i obnaża połamane zębiska, ofukując mnie przy tym zniechęcająco. Jest stary, futro wyłazi z niego całymi kłakami i nie ma jednego oka. Odkąd je stracił, stracił też całą chęć do życia. Inne koty omijają go szerokim łukiem – bo i co to za kot, który wygląda jak pogięty, wysuszony kij a w dodatku śmierdzi na kilometr. Kot, który się nie myje. Widział ktoś kiedyś kota, który się nie myje ? Kiepskie wrażenie potęguje fakt, że od urodzenia, od swoich pierwszych dni na tym padole, jest przeraźliwie chudy i długi – w zasadzie nie widać go dobrze, kiedy idzie prosto a dopiero wtedy, gdy skręca.

Kot mieszka z człowiekiem – równie brudnym, pokręconym i odpychającym, jak on sam. To włóczęga, tło neutralne, nieistotny człowiek, który nawet nie pamięta swojego imienia. Włóczęga ma swój worek, w worku dobytek, na zewnątrz zaś półprzymrotną minę zbędnego ćwierćobywatela, szare, tłuste spodnie i jakiś łańch imitujący sweter. Podobnie jak kot, człowiek jest przeraźliwie chudy i podobnie jak on - pozbawiony chęci do czegokolwiek. Ich wspólnym domem jest murowany śmietnik przy jednej z przedwojennych kamiennic Dolnego Mokotowa. Fontanna w parku Morskie Oko szumi swoim wodnym, naprzemiennym rytmem, umęczone matki pchają niestrudzenie przed siebie wózki z pokrzykującą zawartością, zaś na wszystko patrzą z góry poranione niegdyś kulami faszystów stare, mokotowskie mury. Człowiek (ani kot) nie zwracają jednak uwagi na dziury po kulach. Ani na zmęczone matki, ani nawet na przyjemny szum fontanny. Obchodzi ich w zasadzie tylko jedno : mieszkają tu razem od prawie trzech miesięcy i jeszcze nikt nie kazał im się wynosić.

Spotkałem ich któregoś wieczora wyrzucając śmiecie. Najpierw o mało nie rozdeptałem Horacego, później zaś – bynajmniej nie celowo – wyrzuciłem torbę z odpadkami na głowę jego przyjaciela. Zanim zdążyłem wypowiedzieć chociaż słowo przeprosin, człowiek uciekł w popłochu w noc. Za nim, miaucząc przeraźliwie, pobiegł kot.

Dzieli ich wszystko. Łączy kulawa przyjaźń. Śmietnikowa przyjaźń dwóch warszawiaków, których nie spotkasz raczej w Galerii Mokotów. Ani nawet w Łazienkach.

W tamtą zimową noc człowiek wszedł do śmietnika, cisnął precz swój cuchnący dobytek i usiadł. Horacy wcisnął się w kąt śmietnika, usiłując udawać, że wcale, ale to wcale go tu nie ma. Człowiek siedział bez ruchu chyba z godzinę, następnie zaś westchnął przeraźliwie i sięgnął do worka, później zaś zaczął robić

... No właśnie, cóż on takiego robił, do jasnej cholery ? Horacy nie wierzył już w swoje jedyne, ocalałe oko, jednak resztką kociego rozsądku mówiła mu, że się nie przewidział – oto człowiek gwałtownie przechylił Coś, a na twarz chlusnęła mu z tego Czegoś struga śmierdzącej obrzydliwie cieczy. Kot aż się zwinął w swoim kącie ; smród był nie do zniesienia.

- Chciałem to wtedy skończyć. – opowiada mi człowiek. – Uratował mnie chyba tylko ten brudny kot.

Horacy zachowuje się, jakby wszystko rozumiał – wylazł znów właśnie ze swojego kąta i ociera się o moje nogi. Tym razem już daje się pogłaskać po zjeżonym grzbiecie. I jeszcze raz. Za trzecim razem sprawia wrażenie zadowolonego – nastroszona sierść pomału opada. Tak samo zrobił wtedy, w tamtą noc, kiedy przerażony i powalony nagłym smrodem wylazł ze swojej nory i zaczął ocierać się o nogi człowieka. Włóczęga spojrzał na niego nieprzytomnie, potem zaś odstawił na ziemię śmierdzące Coś, wytarł twarz szmatą i pogłaskał go po grzbiecie. Potem jeszcze raz, i jeszcze i jeszcze ... Kot aż wyprężył się z radości – ostatnią osobą, która zrobiła coś takiego była ... Zresztą nieważne. To było dwa miliony lat temu. Od tamtej pory wszyscy opędzali się od niego, jak od zarazy. Otarł się ponownie o nogi człowieka, i jeszcze raz , i jeszcze ...

- Jak dobrze, jak miło. – pomyślał człowiek.

- Jak dobrze, jak miło. – pomyślał kot.

Człowiek wytarł do sucha ręce, szyję i twarz i przygarnął kota. Sięgnął potem do swojego worka i wyciągnął zasuszony kawałek sera. Złamał go wpół i rzucił Horacemu. Ser to nie jest z pewnością najwykwintniejsza potrawa, jaka pojawia się na kocim stole, ale nie wybiera ten, kto musi – a Horacy musiał. Skoczył jak oparzony na swój ochłap i delektował się każdym kęsem. Chciał, żeby trwało to wiecznie. I trwało to wiecznie.

Kiedy skończył już z serem, odwrócił się znów do człowieka. Był syty, chciał dziękować, mrużyć – człowiek jednak spał. Śmierdzący cieczą, którą na siebie wylał, zmęczony płaczem i przerażony bliskością tego, co nieuniknione – zasnął. Kot nie wiedział, że ta cuchnąca ciecz to benzyna. Nie wiedział, że gdyby w porę nie wyszedł ze swojego kąta – prawdopodobnie w tej chwili byłby już tylko dogorywającą kupką popiołu. Człowiek zamierzał podpalić siebie, i śmietnik, i cały świat - i niewiele mu do tego brakowało. Kot jednak nie miał o tym pojęcia. Ułożył się wygodnie w swoim kącie i – po raz pierwszy od dawna – najedzony, zasnął.

W dzień spali schowani za kontenerem na śmieci i warstwą odpadków – było ciemno, było ciepło, było cicho. Było dobrze. Nocą polowali. Na co ? A na co może polować nocą, w wielkim mieście jednooki kot i otępiały włóczęga? Raz na jakiś czas ktoś wrzucał do śmietnika kolejną torbę i szedł sobie dalej. Człowiek podnosił się wtedy na chwilę, grzebał w świeżych śmieciach i zazwyczaj wyciągał coś, co dało się zjeść bez obrzydzenia – czasem nawet ze smakiem. Odkładał to wówczas na kupkę pod ścianą i układał się znowu do snu. Wieczorem, gdy świat trochę zwalniał i ciemniał, siadali do wspólnego posiłku. Później wyruszali w noc. Człowiek – by zaczerpnąć powietrza i poczuć się choć przez chwilę - gdy nikt go nie oglądał - człowiekiem. Horacy – aby poczuć się kotem. Bez jednego oka miał raczej szansę zostać upolowanym niż upolować coś na kolację, starał się jednak nie zapominać kim jest. Zastanawiał się, na ile starczy mu wytrwałości, na ile odwagi, odganiał jednak te ponure myśli. Jego przyjaciel – włóczęga z dnia na dzień tracił tę wytrwałość : powoli przestawał być już człowiekiem, on jednak nie zamierzał pójść tą drogą. Przyjaźnili się w milczeniu a każdy z nich miał swoją własną ścieżkę.

Pewnego dnia człowiek zniknął.

To nie było melodramatyczne rozstanie kochanków – kłótnia, pakowanie rzeczy, osobne łóżko, do widzenia ... Worek stał opuszczony pod ścianą śmietnika, na ziemi zaś walał się porzucony sweter. Człowiek wyszedł ... i kot więcej go nie widział.

Cichnie fontanna, przestając wyrzucać w powietrze masy wody. Cichną parkowe alejki, z których znikają powoli rowerzyści na swoich lśniących rowerach, umęczone matki z rozkrzyczanymi wózkami, rozgadane babcie i popołudniowi biegacze w modnych butach, warty co najmniej dwa, jeśli nie cztery nawet tygodnie solidnego jedzenia. Takiego ze sklepu, nie ze śmietnika. Znikają wyposzczeni młodzieńcy, wyprężający wyrobione na siłowniach mięśnie przed wyposzczonymi dziewczynami w za małych spodniach, za małych bluzkach i za dużych stringach, zaciągniętych w „procę” niemal pod pachy. Robi się coraz ciemniej i coraz ciszej. Jeszcze na Belwederskiej zajęczy policyjna syrena, jeszcze na Promenadzie jakiś spóźniony amant ryknie silnikiem pożyczanego od ojca samochodu, na który nie stać żadnego z nich, jeszcze wrzśnie coś niecoś spóźniony pan pijak, rozrabiający na Grottgera mimo ciszy nocnej. Robi się cicho, gasną latarnie, park zmienia się zaś w Wyspy Świetlików.

Wyspy Świetlików ... Gwarne za dnia, pełne bawiących się dzieci i zmęczonych rodziców place zabaw. Usychające w letnim słońcu kępy krzaków i krzaczków rosnących to tu, to tam. Betonowe

schody, prowadzące do jednego z najładniejszych, mokotowskich stawów. Publiczne i wszystkich w dziennym świetle, nocą stają się ostoją intymności. Wyspami Świetlików. Jeśli nie wiesz, o czym mówię, wyjdź w nocy do parku, odwiedź Wyspy Świetlików. Tu niepotrzebne jest słońce : bliskość zapewnia noc, ciepło – obecność drugiego człowieka, światło – żarzące się ogniki papierosów. Mokotowskie zbliżenia. Wyspy Świetlików.

I tylko nad tą ławką jest ciemno. Ciemno, nawet czarno a czerń zdaje się rosnać. Co za ironia – dziesiątki świetlików dookoła rozświetlają noc, a tu jest tak czarno. I pusto.

Mężczyźni pochylają się nad ławką. Kilka wyćwiczonych ruchów, kilka zaprogramowanych gestów – i już wszystko wiadomo. Kręcą głowami w milczeniu, po czym jeden z nich odchodzi. Kiedy wraca, niesie czarny, obrzydliwy worek i stos formularzy.

- Muszę zadzwonić po policję. – mówi. – To pan go znalazł ? - Kiwam tylko głową.

- Nie żyje ?

- Nie żyje.

- Dlaczego umarł ? – pytam, chociaż znam odpowiedź. Głupie pytanie.

Starszy z ratowników patrzy na mnie obojętnie.

- Na to samo, co wszyscy. Nie wie pan, na co umiera park ?

Niestety wiem. Wiem, na co umiera się na Wyspach Świetlików.

Czekał dzień, czekał dwa dni, czekał tydzień ... w końcu przestał czekać. Zrezygnowany ułożył się w swoim kącie i zasnął. Śnił mu się zeschnięty kawałek sera i zawsze zimne ręce włóczęgi. Śnił mu się ten szczurzy wypierdek, który już tak dawno temu uczynił z niego inwalidę – pośmiewisko wszystkich, siejącego obrzydzenie stwora, do którego nawet człowiek – nie ten, inny człowiek - nie chciał się przyznać : wziął go wtedy przecież za kark i wyrzucił kopniakiem na schody. Śniło mu się jeszcze wiele innych rze-

czy ; to nie były przyjemne sny.

Kiedy obudził się, włączęgi wciąż nie było.

Rozpoczął się kolejny dzień.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

rockhard, dodano 31.07.2013 20:59

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.